TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.14 151 East 67 Street,New York,N.Y. 2.IV. 1942

R o z g r y w k i w s t y l u Z a g ł o b y.

Sienkiewicz opisuje w "Potopie", jak to król szwedzki, widząc,że nie zdoła wziąć Zamościa szturmem, umyślił zdobyć miasto fortelem dyplomatycznym. Postanowił zaofiarować Zamoyskiemu całe Lubelskie wzamian za otwarcie bram potężnej twierdzy i za przyjęcie załogi szwedzkiej na czas trwania wojny. A kiedy zdziwił się tak wielkiej szczodrobliwości monarszej Sapieha - który wtedy jeszcze przeciw Janowi Kazimierzowi ze Szwedami trzymał był - to wytłomaczył mu z cyniczną szczerością król:"Daję, bo nie moje."

Hrabia Forgell, wysłany do Zamościa dla przeprowadzenia tych pertraktacji, uroczyście odczytał, na posłuchaniu w zamku, akt królewski,zawierający owe propozycje szwedzkie. Zamoyski - zdaniem Sienkiewicza, doskonały Polak, ale bystrością umysłu nie grzeszący - tak był zaskoczony słowami Forgella, że, jak to mówią, zapomniał języka w gębie. Kłopotliwe milczenie przerwał stary Zagłoba, który, pochyliwszy się do ucha Zamoyskiego, odezwał się półgłosem:"A Wasza Mość niech zaofiaruje Jego Szwedzkiej Mości Niderlandy." Sala zatrzęsła się od śmiechu dworzan i oficerów, kiedy Zamoyski, bez wahania poszedł za radą Zagłoby. Forgell wrócił,jak niepyszny do króla, który nazajutrz musiał wydać swoim wojskom rozkaz odstąpienia z pod Zamościa. Odpowiedzią na "Lubelskie" były "Niderlandy"- misternie pomyślaną intrygę zwyciężyło jedno dowcipne powiedzenie.

Nie przypuszczał chyba Sienkiewicz, że ten anegdotyczny pojedynek słowny Zagłoby z Forgellem przejdzie z czasem na teren prawdy historycznej, stając się doskonałym wyrazem realnej polityki światowej w jej dzisiejszych zwłaszcza rozgrywkach międzynarodowych. Hitler szafuje "udzielnemi Księstwami Lubelskiemi" wszystkich pięciu kontynentów z wprost niewiarogodnym cynizmem: Marokko, Siedmiogród, Indochiny, Serbja, Gibraltar, Syrja, Sumatra, Korsyka, Nowa Zelandja... Jedno i to samo "Lubelskie" ofiarowuje kilku "Zamoyskim" równocześnie i nawet gotów jest podarować je prawowitemu właścicielowi za odpowiedniem dla siebie wynagrodzeniem. Przyrzeka więc Marokko Hiszpanom i Włochom, a skłonny jest zrobić z niego prezent i Francuzom jeżeli, tytułem zapłaty, wydadzą mu całą marynarkę wojenną z jej wszystkimi portami śródziemnomorskimi. Siedmiogród może być węgierskim albo rumuńskim - zależy to jedynie od ilości "armatniego mięsa", którem Hitlerowi zapłaci Bukareszt czy Budapeszt tak lub inaczej brzmiący wyrok arbitrażowego sądu. Indje holenderskie uznane zo-

stały wprawdzie za część składową japońskiego "Lebensraumu" za cenę wypowiedzenia przez Tokjo wojny Londynowi i Waszyngtonowi, ale Berlin zapewnia nazistów amsterdamskich, że nie powinni tracić nadziei na otrzymanie Jawy z powrotem w przyszłości, kiedy cała Holandja należeć już oficjalnie będzie do niemieckiego "Lebensraumu". Coraz więcej "Zamościów" spotyka w swoim początkowo tak błyskawicznie zwycięskim pochodzie armja niemiecka. Zmusza to Hitlera do takiej szczodrobliwości w szafowaniu cudzemi ziemiami, że nawet Zagłobie nie starczyłoby już "Niderlandów" do odwzajemniania się.

Niezawsze i niewszyscy należycie odwdzięczają się Hitlerowi za jego wspaniałomyślność - spotyka ich wtedy "zasłużona" kara. Podarował Sowietom Łotwę, Estonję, Litwę, kawał Finlandji, Besarabję i prawie połowę Polski. Stalin wszystko to wziął i, podobno - tak twierdzi Berlin - domagał się dalszych prezentów. Odebrał mu więc wszystko Hitler i to z nawiązką, bo zapędził się aż pod Moskwę w swoim gniewie na bolszewicką niewdzięczność.

Zagłoba znalazł naśladowców pomiędzy niektórymi angielskimi politykami. Niestety! uczynili oni z dowcipu szlachcica polskiego system rozgrywek międzynarodowych - darują na serjo cudze "Niderlandy", któremi Zagłoba chciał ośmieszyć cynizm szczodrobliwości króla szwedzkiego. Nie jest to chyba najwłaściwszą grą polityczną w chwili, kiedy samo Imperjum Brytyjskie dzielone jest przez Hitlera na szereg "Niderlandów", któremi opłacana ma być pomoc niemieckich aljantów. Niema mowy o "Niderlandach" w piękmej "Atlantic Charte", podpisanej przez Roosevelta i Churchilla. " Nobless oblige" - nawet w polityce... A zwłaszcza w stosunku do Polski, walczącej u boku Anglji.

Zygmunt St. Klingsland

Scena z dramatu. x/

/Scena ta, która nazywa się "Pogrzeb Stanisława Augusta" przedstawia teatr na wyspie w Łazienkach w noc letnią./

Melpomena

Skąd ty przychodzisz, zapomniany
I niepotrzebny już nikomu,
Któryś się zjawiał w blaskach gromu
I któryś siadał na kurhany.
Gdzie idziesz? Słyszysz jak gra fletnia,
Widzisz, jak kwiat się lekko chwieje.
Nic tu po tobie. To noc letnia,
W której się tutaj nic nie dzieje.

Konrad

Księżyc był krwawy jak na wojnę,
Smutne mi owej fletni granie.
Sny miałem jakieś niespokojne
I wiem, że coś się tutaj stanie.
Czy ty nie widzisz tego cienia,
Co jakby snuł się ponad sceną,
A ten plusk wody jak westchnienia?
Tu ktoś dziś przyjdzie, Melpomeno...

x/ W Nr.6,R.II drukowaliśmy inną scenę z tego samego utworu.

Melpomena

Pamiętam, jakeś o zachodzie
Zjawił się wtedy w noc majową,
Jakeś się snuł tu po ogrodzie
Z ukrytą w bladych dłoniach głową.
I nagle w jednym mgnieniu powiek
Księżyc swój srebrny tren rozwinął
Z tego pałacu wyszedł człowiek
I w owym blasku się rozpłynął.

Konrad

Bezchmurne niebo się błysnęło
Zegar gdzieś w mieście bić poczyna.
Oto wybija znów godzina
W której wykonam moje dzieło
I przed tym, który w nic nie wierzy
Prócz w to, że świat ten jest bez duszy,
Ożywię marmur co się kruszy
I posąg, który w gruzach leży.

Melpomena

Patrz! Jaka woda pomarszczona,
Z daleka wioseł plusk dochodzi.
Czy widzisz, płynie łódź Charona
I jakiś człowiek stoi w łodzi.
W alei ciepły podmuch wiatru
Pierwszy gna zeschły liść po ziemi,
A on z rękami wzniesionemi
Płynie tu prosto do teatru.

Konrad

Poprawcie szaty swe kamienne
I schodźcie tutaj się pospołu.
O przetrzyj, Wenus, oczy senne,
Różaną stopą zejdź z cokołu.
Gwiazdę wiszącą pod tym stropem
We włosy wepnij nad twym czołem.
I ty przyjdź, Ceres, z pełnym snopem,
Ze zbożem, kwieciem, wonnym ziołem.
Tobie się zsunął wian z wawrzynu,
Więc go umocuj. A ty szczytny,
Rozwiń swe zwoje pergaminu,
Gdzie śpi heksametr starożytny.
Ten zaś we złotą zbroję zdobny
Mieczem o tarczę niech uderzy,
I niechaj zabrzmi, niech się szerzy
Powoli, cicho marsz żałobny.

Melpomena

Ktoś jest, że wznoszą dłonie bóstwa
Z gałęźmi lauru i choiny,
Żeś śród pałaców pysznych mnóstwa
Wybrał te gruzy i ruiny?
Skąd wiesz, że serc tragicznych rany,
Które krwawiły niewidocznie
Ten teatr widział potrzaskany
I teraz właśnie grać rozpocznie?

Król S.A.

Charonie! Wiosło rzuć! Poznaję
Zapach tych lip, łabędzie pióra.
W powietrzu kwietnej woni chmura.
To ja sadziłem owe gaje,

Te bóstwa, co w księżycu świecą
Ode mnie skrzydła mają dane,
To moje drzewa, z których lecą
Liście jak ja przez wichry gnane.
To przecież od Was chciałem wieści,
Blade posągi, czułe drzewa.
Jak was nie poznać po boleści,
Co dzisiaj serce mi zalewa.
Świat, który płynie przed mym wzrokiem,
Niech tu choć chwilę się zatrzyma,
Bym upił jego się widokiem
Pełnemi gorzkich łez oczyma.

<u>Pallas</u>

Nie do otarcia łzy twe krwawe
I rozpacz twa nieukojona,
Bo tutaj echo, co nie kona
Powtarza bitwy zgiełk i wrzawę.
Widzę ich jeszcze jak idą
W mgłę otuleni listopada
I słyszę krok ich, co się skrada,
Miarowy krok pod mą egidą.
Nie słuchaj tego nocy szmeru.
Patrz! Lśni w księżycu moja tarcza,
Więc naprzód, naprzód co tchu starcza!
I wal o bramę Belwederu.

<u>Melpomena</u>

O bezlitosna, o krwi głodna!
Czemuż zasmucasz ową duszę,
Co wszystką gorycz piła do dna,
Czemuż to serce krwawisz?

<u>Pallas</u>

. . . . Muszę.
Muszę, gdy sen żołnierzy zmorzy
Stawać nad młodym pułkiem śpiącym
I wiać powiewem gorejącym
We młode serce, co się trwoży.
Muszę, gdy chwała go upoi
I próżna duma moc odbiera
Egidy chrzęstem, dźwiękiem zbroi
Nanowo budzić bohatera.
Muszę bić w bębny, dąć w litaury,
Strzec, by ich granie nie ucichło
Ledwieś je zdobył, gdzież te laury?
O! Jakże one więdną rychło.

<u>Melpomena</u>

Oto bogini twarz ci pała
I więź wężowa lśni w twej dłoni,
Jak w tę noc śnieżną gdyś tu stała,
A krzyk przed tobą szedł "Do broni!"
Oto znów stajesz w złotym kasku,
Zdobna w miecz, tarczę i pawęże.
Czemuż się zjawiasz w takim blasku?

<u>Pallas</u>

Jestem tu z Wami i zwyciężę.

Jan Lechoń

Mój pierwszy rok w Ameryce.
Ciąg dalszy.

Wszystko, co w tym kraju przeżywam, pełne jest sprzeczności i paradoksów, jak zresztą wszędzie w moim życiu. Ilekroć w Europie wyobrażałem sobie moje amerykańskie mieszkanie, widziałem siebie conajmniej na 30-tym piętrze. Rzeczywistość - jak do tej pory - wygląda zgoła inaczej. Pierwsza moja kwatera w Nowym Yorku mieściła się na parterze, druga - coprawda już poza Nowym Yorkiem - na pierwszem piętrze, a obecnie zaawansowałem aż na drugie piętro. Nie tracę jednak nadziei. Jeżeli wojna ciągnąć się będzie nadal w tempie aljantów, to trumna z mojemi doczesnemi szczątkami może zjechać windą z trzydziestego piętra, licząc optymistycznie a skromnie: każdy rok życia o jedno piętro wyżej.

Skoro już jesteśmy przy tych smutnych sprawach, poświęćmy parę słów obserwacjom na temat tutejszej śmierci i stosunku do niej. Na ulicach Nowego Yorku nie spotkałem dotąd ani jednej osoby w żałobie. Zdaje się, że strój żałobny nie jest tu przyjęty ani u kobiet, ani u mężczyzn. Byłażby to nadmierna wstydliwość uczuć, niechęć do ostentacji, zabraniająca rodzinie zmarłego afiszowania żałoby? Lub raczej wzgląd na obce i obojętne otoczenie, któremu nie należy mącić "good time'u" i "keep smiling'u"? Keep smiling został tu wyniesiony na zawrotne szczyty doskonałości i zdaje się obowiązywać w każdej okoliczności życia tudzież śmierci. Natrafiamy w pismach na fotografje wdów po bohaterach wojennych,twarze opromienione tak czarującym uśmiechem, iż ktoś,kto nie zna języka angielskiego i nie wie o co chodzi, mógłby je wziąć za reklamę pasty do zębów. Z drugiej jednak strony daje się zauważyć pewna delektacja pogrzebami, oczywiście też w ramach good time'u i keep smiling'u. Pogrzebowość że tak określimy tę gałąź użyteczności publicznej - zdaje się należeć w pewnych sferach do przyjemności życiowych. Również, a może zwłaszcza Polonja amerykańska szczyci się sporym kontyngentem entuzjastów zakładów pogrzebowych. Tłumaczy się to zapewne tem, że większość tych ludzi przyszło na świat w tak nędznych warunkach, iż pragnie go przynajmniej opuścić w przepychu i blasku. Świadczyłyby o tem liczne w pismach polskich a szumne ogłoszenia "pogrzebowych" i "balsamatorów", oraz tryumfalne zapowiedzi o otwarciu gościnnych podwoi każdego nowego zakładu. O jednym z takich faktów czytaliśmy przed rokiem cały essay. M.i.essayista stwierdzał iż nowootworzony "Funeral Home", którego właścicielka jest Polką, stanowi "cenną zdobycz dla miejscowego interesu i jest jednym z więcej dowodów wielkiej żywotności obywateli ogólno słowiańskiego pochodzenia i świadczy wymownie, iż rasa słowiańska coraz bardziej wypycha w tył inne narodowości, zajmując należną jej oddawna chlubną i czołową rolę w życiu publicznym."

Niedawno zaś pewien młody rodak uzyskał dyplom balsamatora. Po ukończeniu przekładu Homerowej Odyssei nie otrzymałem nawet połowy tylu życzeń, co ów młody szczęściarz, jakkolwiek też trochę się przyczyniłem do pogrzebania Homera w Polsce. A co się tyczy bankietu, jaki mi koledzy z P.E.N.Klubu wyprawili w warszawskim hotelu Bristol z okazji niesłusznego nagrodzenia tego przekładu, lepiej nie wspominać o nim, bo w tej chwili znajdują się w Nowym Yorku dwaj uczestnicy bankietu, z których jeden /nie będę niedyskretny i nie wymienię nazwiska Kazia Wierzyńskiego/ był nawet członkiem zarządu P.E.N.Klubu. W każdym razie wyobrażam sobie bankiet na cześć balsamatora o wiele...Ale nie bądźmy zazdrośni i małoduszni i przejdźmy do tematów pogodniejszych, w sensie staroeuropejskim.

Ulubieńcem publiczności wszystkich płci, stanów, wiar i kolorów skóry , jest tutaj stworzenie mityczne, często,jak n.p. w moim wypadku nieuchwytne a zielone jak sama nadzieja i jak chorągiew Mahometa. Ma ono w samym Nowym Yorku większą ilość wspaniałych świątyń, osobliwie w okolicy Wallstreet, gdzie odbywają się dostępne tylko dla wtajemniczonych misterja przelewów i endorsementów. Co do pojęcia "przelew" mam wrażenie,że

od niego pochodzi, częsty w języku polskim zwrot: "u mnie się nie przelewa". Ale i niejedną krew przelewano w imię mitycznej zieleni. Jest ona snem nocy letnich, jesiennych, zimowych, wiosennych wielomiljonowych rzesz, a fałszywe i zgoła obłudne byłoby mniemanie, iż stanowi specjalność jedynie amerykańską. Błogość tego snu zależy nietyle od jakości, ile od ilości. Kojarzy się zaś jego wartość przeważnie z zaimkiem dzierżawczym. Czyli, że jest zgoła czem innem w połączeniu z zaimkiem "Mój", a najzgolej czem innem z zaimkiem "Twój". W ciągu roku sprawozdawczego poznałem ludzi, którzy obojętnie słuchali wiadomości radjowych o zatopieniu okrętów, o pójściu na dno oceanu setek żywych ludzi, zaczynali natomiast wzdychać i jęczeć gdy przy tych katastrofach pojawiały się cyfry w połączeniu z imieniem zielonego bóstwa. Ze strachu, żeby go nie urazić, ze strachu, żeby się odemnie nie odwróciło, wolę nie wzywać nadaremno tego wielkiego imienia. Niechaj łaskawy czytelnik sam je odgadnie.

.3.

Przenieśmy się teraz ze sfery mitologji w sielankową dziedzinę niewinności. Szkoła. Nie przyjechałem tutaj sam, lecz z rodziną, której najmłodsza latorośl obowiązana jest do czerpania z kastalskich źródeł wiedzy. Dziecię to, w swej krótkiej spódniczce i jeszcze krótszej karjerze naukowej, miało sposobność korzystania ze światła w szkołach najrozmaitszych. Najpierw przez parę tygodni chadzało do szkoły polskiej w skrwawionej, zbombardowanej, wyziębionej i pognębionej Warszawie pod niemiecką okupacją. Zacna to była szkoła i zacna była ta "pani", która śpiewała z dziećmi pod okiem Gestapo polskie pieśni. Niechaj Bóg miłosierny da jej moc przetrzymania lat niedoli, a ty, dziecinko, nie zapomnij nigdy piosenek, które ojca twego do łez wzruszają! Następnie po wielomiesięcznej przerwie, bo Niemcy zamknęli szkołę i po długich, bardzo pouczających podróżach, uczęszczała moja córka aż do dwu szkół powszechnych we Francji. Uczono tam wielu rzeczy mądrych i trudnych. Francuski powszechniak jest pepinierą przyszłych humanistów, a panują w nim metody starodawne. Po dziś dzień mam w uszach chóralne skandowanie tabliczki mnożenia w szkole mojej córki w Biarritz. Potem, po długich i jeszcze bardziej pouczających podróżach, przyszła szkoła amerykańska. Było ich aż trzy, a to dzięki ojcowskiej pasji częstych zmian miejsca zamieszkania. Jeżeli szkoła polska w okupowanej Warszawie urabiała serce, a francuska - umysły, to szkoła amerykańska uczy - radości życia. Do żadnej z tylu szkół nie chodziło moje dziecko z takim pośpiechem i taką rozkoszą, jak w Nowym Yorku, Nyacku i obecnie w Riverdale. A o wspaniałościach warunków w tych szkołach, też lepiej nie mówić z uwagi na to, że przebywają teraz w Stanach Zjednoczonych dwaj b.polscy ministrowie Oświaty. Krótko mówiąc: szkoła amerykańska jest szczęściem dla dziecka. Dziecko wraca z niej do domu roześmiane, rozbawione, a nigdy upokorzone. Na wspomnienie szkoły, do której sam kiedyś chodziłem w ukochanym, niezapomnianym Lwowie, przechodzą po mnie ciarki jeszcze tu, w Riverdale. Polska ta szkoła, pod austrjackim zaborem, sąsiadowała z kryminałem policyjnym, zwanym po lwowsku "furdygarnią". Byliśmy, uczniowie, głęboko przekonani, że ta szkoła jest departamentem furdygarni - dla nieletnich. Mentorem naszym był pewien starszy sadysta i alkoholik, przytem - kaleka. Znęcał się nad nami jakbyśmy byli nie gośćmi z furdygarni, lecz z pobliskiego ciężkiego więzienia, słynnych "Brygidek".

Jeżeli, drodzy przyjaciele, zauważyliście u mnie jakieś cechy nerwowości, pomyślcie, w jakiej szkole się chowałem: między furdygarnią i Brygidkami! Sama święta Anna, pod której wezwaniem była nasza szkoła, nieraz chyba płakała razem z nami, gdy nauczyciel wykonywał na nas swe egzekucje grubą trzciną, która pod koniec każdego miesiąca szła w strzępy od regularnego i nader wydatnego używania. Co pierwszy każdego miesiąca sadysta i alkoholik posyłał klasowego lizusa po nową trzcinę do sklepiku naprzeciw. Kupował je nie z funduszów szkoły, lecz z prywatnych.

tak bardzo lubił bicie. Mam nadzieję, że postać tę będzie mi dano uwiecznić przy innej sposobności.

Gdy myślę o mojej nauce w szkole św.Anny i patrzę na moje dziecko wracające do domu z tej samej czwartej klasy, w której ja wówczas byłem, razem z moją córką śpiewam: "God bless America" i żałuję, że nie mogę już być jej kolegą. Oto - głębokie źródło keep smiling'u. Tam, gdzie dają dzieciom pogodne dzieciństwo - uśmiech i śmiech towarzyszy im potem przez całe życie, choćby to życie nie było - jak się u nas mówi - usłane na różach. Myśmy z naszych galicyjskich szkół wynosili nietylko znajomość tabliczki mnożenia, ale często i neurastenję, a niekiedy jeszcze skłonność do kłamstwa, do oszukiwania oraz rozliczne fobje. Ze szkoły amerykańskiej, jak dotąd zaobserwowałem, wychodzą dzieci bez lęków, uczciwe i prawdomówne. Stanowczo zawiele łez lało się w moim świecie dziecinnym,a te łzy niejednokrotnie wykrzywiały obraz świata - na całe życie. W polskiej szkole, w okresie niepodległości było oczywiście już całkiem inaczej. U tej samej św.Anny we Lwowie uczyli już nowi ludzie, lepiej wykształceni i lepiej płatni, niż za moich czasów. I o innem nastawieniu do pedagogicznego powołania. To prawda. Ale mówię o szkole do której chodziłem i porównywam ją z amerykańską szkołą mego dziecka, dla której nie mam słów zachwytu i wdzięczności. /Dalszy ciąg nastąpi./

Józef Wittlin

Teatr Polski współczesnej.

I.

Przedewszystkiem trzeba stwierdzić:niema go jeszcze,bo niema sceny polskiej i niema autora,aktora i reżysera - z którychby każdy ten Teatr Polski Współczesnej ujął w ramy wizji scenicznej. Teatr taki zarysowuje się dopiero w duszach naszych, pisze się w sercach, jest sprawą przyszłości,niedalekiej może - ale przyszłości. Staje się jednak problemem i obowiązkiem dnia dzisiejszego bo jutro ma być on już wyraźnym w formie refleksem przeżyć i wstrząsów duszy polskiej z okresu jej walk o nowy ustrój narodowy i społeczny, skrystalizowanym obrazem jej przemian w czasach bądźcobądź niezwykłych dla całej ludzkości i wrażeniem artystycznym utrwalonym nie fantazją autora a odebranym przez niego bezpośrednio, na gorąco w dniach wojny o wolnego człowieka. Dlatego teatr jutra przeżywany dziś mamy prawo nazywać Teatrem Polski Współczesnej.

Teatr ten - poza tragicznym romantyzmem wspomnień wojennych -winien narzucać widzowi sugestję wniosków.Winien dawać świadectwo epoce wczorajszej, by z jej wzlotów i upadków, ze zdobyczy i błędów - wyciągnąć naukę na przyszłość. Winien dalej oświetlić z właściwej strony przeżycia człowieka powojennego, jego niezawodne urazy psychiczne, nabyte na froncie, w schronie,na przejściach granicznych, w ciężkich czasach tułaczki po wszystkich częściach świata czy - jeszcze cięższych - dniach i nocach zwierzęcego teroru i nieludzkiego prześladowania pod okupacją. Winien wreszcie nakreślić obraz szczęśliwszej przyszłości,stać się mądrym doradcą i przyjacielem, dyskretnym spowiednikiem skomplikowanej,chorej duszy ludzkiej,zastrzyknąć jej kilka promieni optymizmu, poruszyć strunę nadziei. Widz tylko wtedy uwierzy teatrowi i da sobie narzucić sugestję jego wizji scenicznej - jeżeli przeżycia bohaterów dramatu czy komedji będą jego przeżyciami a ich walka z przeznaczeniem - jego walką. Inaczej odejdzie i nie wróci w pełnem i zresztą słusznem przekonaniu, że teatr fałszuje życie, że nie jest jego obrazem, że go oszukuje.

Dlatego już dziś,zgóry teatr przyszłości musi odrzucić cały arsenał sztucznych rekwizytów ckliwego sentymentalizmu,poezję papierowej zbroi,melodramat nielogicznych spięć i powikłań sercowych,tradycję "bujania" publiczności długiemi kazaniami i mętnymi tyradami apelów z wysokoś-

ci sceny,bo wywoła tylko śmiech i wzruszenie ramion widza,który spełnił swój obowiązek na barykadach bohaterskiej Warszawy i codziennie zdaje egzamin z dojrzałości społecznej na jej ulicach,ratując od głodu i samobójstwa innego nieznanego mu dotąd Polaka przez podanie mu pomocnej dłoni braterskiej. Wartość mieć będą tylko fakty i przeżycie - słowo,zredukowane do minimum będzie je punktowało a talentowi autora pozostawi się jedynie montaż i myśl przewodnią.

Zadania,jak widzimy,odpowiedzialne i niełatwe.Sztuka przez wielkie S przestanie być wreszcie serjami ataków czkawki kaznodziejskiej,upstrzonej nudą i banałami,żerowaniem na najwyższych instynktach - a stanie się żywym,logicznie pomyślanym montażem faktów,do niedawna pogardzanym przez snobów rodzajem sztuki,bo wykraczającym przeciw czcigodnej corneillowskiej jedności akcji,miejsca i czasu. Autorzy bez talentu B.Shawa,twórcy doskonałych "feljetonów scenicznych",usadowili swych bohaterów na fotelach i wpoili publiczność przekonanie,że inna forma dramatu jest tylko surogatem sztuki. Dlatego przegrali walkę z filmem,bo publiczność szanowała teatr - ale zaczęła chodzić do kina.

Przejdźmy z teoretycznych rozważań do praktyki. 18 teatrów warszawskich i kilkadziesiąt prowincjonalnych na terenie całej Polski zamknięto. Tajne okólniki generał-gubernatorstwa,będące w posiadaniu Rządu Polskiego - mówią wyraźnie o stosunku niemieckich władz okupacyjnych do teatru polskiego jako instrumentu utrzymywania i pobudzania świadomości narodowej:wykluczenie wszelkiej sztuki poważnej pobudzającej do myślenia, tendencyjne spłaszczanie i erotyzowanie poziomu polskiej literatury scenicznej, są zasadniczymi wytycznymi polityki agentów "kulturalnych"Francka. W wyniku tej polityki gra się "Ptasznika z Tyrolu" i rewję "Dziewczynko nie bój się chłopczyka!" w kilku z trudem zgalwanizowanych ale pustych teatrzykach.Aktor polski w obawie represji przybrał fartuch kelnera,żyje,kpi z okupantów i czeka na radosną chwilę premjery w wyzwolonej ojczyźnie a autor zawiesił swą pracę,bo wie,że pisanie po polsku i za czucie po polsku czeka go kolosalna kara jak za słuchanie polskich audycji radjowych z Londynu. Dlatego zarówno odbiornik radjowy jak i notatki,z których później się wyłoni dokumentarny dramat duszy polskiej na przełomie dwóch epok - ukrywa starannie w piwnicy,gdyż nie chce znaleźć się w wyniku jednej rewizji nocnej w Matthausen czy Oświęcimiu. Ale najsurowsza nawet kontrola Gestapo nie jest w stanie odebrać mu możliwości obserwowania życia i typów,podstawy twórczej literatury scenicznej - bo styka się z ludźmi codziennie na najrozmaitszych odcinkach i widzi ich w najprzeróżniejszych sytuacjach.Widzi,przetrawia i notuje.To jest jego radosna kontrabanda i tryumf nad szpiclem.

Autorzy na wychodźtwie są pozbawieni tego momentu.Wzamian zato obserwują tę drugą Polskę,Polskę Walczącą i Wędrującą,Polskę żołnierza i polityka,tułacza i uchodźcy.Obserwują życie emigracji i europejskich gospodarzy kraju,w którym znaleźli gościnę,ich reakcję na dzieje wojny,ich przemiany i przeobrażenia w obliczu katastrofy,ich tryumf skutecznego oporu. Do tych autorów zaliczyć trzeba również i tych,którym niespodzianka z 22 czerwca 1941 otworzyła drzwi więzień sowieckich i pozwoliła na naoczną analizę dziwnej i od dwudziestu lat obcej światu duszy rosyjskiej która zdążyła się w dużej mierze otrząsnąć z puszkinowskiego romantyzmu i deprymującej melancholji Dostojewskiego a jeszcze nie miała czasu stworzyć sobie obrazu własnej rzeczywistości narodowej i społecznej,wolnej od urzędowego panegiryzmu idei bez tradycji. /Dalszy ciąg nastąpi/

Jerzy Topa

Jan Lechoń,przygotowując pracę o Jaroszu Derdowskim,pisarzu kaszubskim który w drugiej połowie XIX w.spędził kilkanaście lat w Stanach Zjednocz. i pozostawił tu rodzinę,prosi najuprzejmiej osoby i instytucje,którym znane są szczegóły tego pobytu,ewent.nieogłoszone dotąd prace Derdowskiego o łaskawe nadesłanie tych danych pod adresem: Jan Lechoń,Hotel Shelton, Lexington Ave & 49 St.,New York City.

Time bomb. Powieść
Ciąg dalszy.

Weber przetarł zmęczone oczy i tłumiąc ziewanie kiwnął głową.
-A magazyn? - pytał dalej profesor.
Wskazał niedbale palcem w dół ku piwnicom i zabrał się do czytania. Profesor uśmiechnął się. Ten styl zachowania się Webera zawsze sprawiał mu przyjemność. Był on zaprzeczeniem wojskowego "drillu", którego nie mógł on oduczyć się przez pierwsze lata pobytu w Anglji. Teraz oparł się łokciami o stół i wsadził palce w uszy. W ciągu dwudziestu lat nie doszedł do biegłego czytania angielskich gazet. Odwracał się tyłem do wszystkich, zatykał uszy i poruszał wargami.
Profesor odwrócił się do asystenta.
-Już wrócił do swojej dawnej formy.
-W Londynie od paru miesięcy lecą bomby na kina, dancingi, bary, a kina pełne, i ludzie piją i tańczą jak dawniej. Jakiś jednorazowy wstrząs jakaś bomba nie zmieni człowieka.
Znowu przerwał mu długi gwizd, po którym przyszedł odległy ale potężny grzmot.
-No...ta zmieniła już kogoś - szepnął profesor.
-Łatwiej zmienić ciało w miazgę niż nawyki człowieka - odpowiedział asystent, wskazując Webera. Ten przerwał na chwilę czytanie, ale teraz wrócił już do swojej gazety. Był czymś oburzony i ze zdziwieniem kręcił głową.
-Co tam, panie Weber? - Profesor koniecznie chciał wyciągnąć go na rozmowę. Weber spojrzał nieprzytomnie.
-Co?
-Na co się pan złości?
-Na co się złoszczę? - Przez chwilę mrugał zmęczonymi oczami i szukał po kieszeniach swojego pince-nez. -A bo...bo mówił przez radjo taki, jak się nazywa...O! Minister of Shipping! Sir Ronald Cross, nazywa się.
-I co? Źle mówił?
-Dobrze mówił! Powiada...O! - znalazł miejsce w gazecie, którego szukał, i zaczął ciężko ale z żywym oburzeniem czytać.
-"Zniszczenie, które Niemcy robią swoimi bombami jest niczym w porównaniu z tym zniszczeniem, jakie robią w duszach i umysłach swoich dzieci. Wychowują oni całe pokolenie ludzi pozbawionych wszelkiej wiary i wszelkiej etyki. Jedyną ich wiarą jest wiara w Hitlera, jedyną etyką - własne dobro. Szkoły ich uczą tylko rzemiosła wojennego i wychowują dzieci na żołnierzy, kochających tylko i nadewszystko wojnę."
-Zabrali się do roboty ze znajomością pańskiej psychologji - mruknął profesor, przypominając sobie, co mówił asystent o łatwości wytwarzania odruchów u szczeniąt.
-I tu dalej pisze - nie dał sobie przerwać Weber - taki marsz, co już małe dzieci tam śpiewają.

"Gdy nowe życie się zaczyna,
Nad starym nie wolno ronić łez!
I cóż, że cały świat w ruinach?
Co żyć ma przejść musi przez ognia chrzest!

Swiatu trzeba napluć w twarz,
Potem go pokropić krwią,
A świat będzie jutro nasz,
Jak dziś Niemcy nasze są!" -

Z daleka dochodziło jakieś dudnienie.
-Zdaje się, że ambulanse jadą - zauważył profesor, Weber jednak nie dał sobie przerwać.
-I pisze tu dalej - stukał palcem w gazetę - że ta pieśń jest małe

dzieciaki w ogródkach freblowskich uczona!

-Nie... To samolot - odpowiedział asystent. -I nurkuje, zdaje się..

-Nie...To motor ambulansu - upierał się profesor,bo dźwięk był istotnie dziwnie skomplikowany. Weber też zaczął nasłuchiwać.

-Chyba że jeden i drugi razem...

Dołączyło się do tego coś trzeciego, czego dotychczas nie słyszeli. Zdawało się, że ktoś bije raz po raz kijem o ziemię w równych odstępach.

-Co to?

-Co to jest?

-Pod ściany! Pod ściany! - krzyknął nagle zmienionym głosem Weber, poznając dźwięk dobrze mu znany z czasów wielkiej wojny.-To karabin maszynowy!

Teraz rzeczywiście przez huki motorów przebijały wyraźnie strzały karabinu maszynowego. Ledwie zdążyli skoczyć pod ściany, gdy usłyszeli drugą serję charakterystycznych pacnięć. Kule biły w mur. Weber przytulony do ściany dał znak ręką, żeby padli.

Był to znowu zupełnie inny człowiek. Niepodobny do tego, który czytał przed chwilą gazetę - zauważył profesor. Bodziec - karabin maszynowy - wywołał zbiór odruchów podoficera z wielkiej wojny. Dlatego zjawił się inny człowiek.

Druga serja karabinu maszynowego skończyła się i zapanowała cisza, przerywana oddalającym się postękiwaniem samolotu.

-Ostrzelał ambulans - szepnął wzburzony asystent.

-Nazywa się, że jest wojna totalna - odpowiedział ponuro Weber.

-A co po wojnie? - zapytał profesor,wracając na środek pokoju.

-Nic na onych nie pomoże. Zawsze już taki zostanie być łobuz.No nie?

-Po wychowaniu na takich pieśniach - nic już nie pomoże. - zaczął asystent, ale nagle brzęczenie samolotu zaczęło znowu niepokojąco zbliżać się. Widocznie lotnik oddalił się z powodów technicznych - nie mógł krążyć zbyt nisko małymi kołami - ale nie zrezygnował z ataku.

Profesor wrócił pod ścianę, gdy w drzwiach od korytarza stanęła miss Violet. Właśnie budziła kucharkę, żeby robiła herbatę dla rannych, gdy zobaczyła przez okno zajeżdżający ambulans, więc biegła do niego.

-Nie ruszać się! Zostać tam! - krzyknął do niej Weber, bo w tej chwili zaczęła się nowa serja karabinu maszynowego.

Miss Violet, jakby nie słyszała, rzuciła się ku drzwiom werandy.

-Niech pani teraz nie wychodzi! To z samolotu strzelają do ambulansu! - krzyknął profesor.

Ale miss Violet zatrzymała się tylko na chwilę, żeby podnieść książkę, która wypadła jej z pod fartucha, i wybiegła na dwór.

-To jest słuszna. Jak najprędzej trza wynosić rannych, bo może być nieszczęście - zdecydował się Weber i także wyszedł na werandę. Obowiązkiem miss Violet była obecność przy ambulansie, jego obowiązkiem - obecność na werandzie, gdzie w ciemności trzeba pokazywać sanitarjuszom drogę. Sam tak podzielił funkcje.

/Dalszy ciąg nastąpi./

Antoni Gwojdziński